

Ktoś, kto uważał na lekcjach geografii w szkółkach świątynnych, pamiętał z nich, że wielkie góry Larion dzielą się na kilka pasm i masywów, w większości zbieżnych z obszarami przypisywanymi poszczególnym huanom elfów. Huan czyli coś, co ludzie określali klanem, a jednocześnie też ziemią należącą do klanu. Tak więc olbrzymie góry ciągnęły się od północnego pasma Ahi, przy granicy z Ofirem, wraz z koronnym masywem Telfamby, dalej na południe przez najwyższe ze wszystkich pasmo Rino, nieco niższe góry Kohatu, aż do dwóch tzw. huanów południowych czyli Takawai i Waitiri. Zwłaszcza ten ostatni miał wyjątkowe położenie, bo w przeciwieństwie do pozostałych nie był odgraniczony wodami jednej z najpotężniejszych rzek kontynentu, wielkiej Yro, która na granicy huanu Takawai przetaczała się na zachód, gdzie rozpływała się w gigantyczne rozlewisko Bagien Moreinn, skąd tysiącem kanałów wpadała do zatoki Draigern. Na wysokości Gór Rino do Yro wpadała jeszcze płynąca przez równiny styryjskie Loranis, zmieniając górska rwącą rzekę w górskiego giganta. Mieszkańcy tego regionu mawiają, że w górnym biegu, tam, gdzie u swoich źródeł Yro oddziela starożytne skalne twierdze Kalidorei od ziem huanu Rino, rzeka jest młoda, a poniżej połączenia z Loranis – stara. Yro była dla nich Królową, Boginią Gór, Starszą Damą, Siwą Księżną, jej gniewem groziło się wrogom, grzmot jej wodospadów opiewały pieśni, jej święte fale były niespożytym źródłem energii magicznej, a legendy personifikujące jej postać opowiadano wzdłuż całego Larionu po obu stronach granicy. Sforsowanie „starej” Yro wpływ jest niemożliwe nawet w najbardziej suchej porze roku, dlatego ta granica jest jednocześnie wspaniałą, naturalną fortyfikacją. Dopiero na wysokości Waitiri fortyfikacja przestaje chronić zamieszkałe przez górskie elfy ziemie, wystawiając je na ryzyko ataku ze strony zachodnich sąsiadów.

Bo od pokoleń – a elfie pokolenia to kilka tysięcy lat – nikt tej granicy nigdy nie zaatakował.

Aż do teraz.

Wspomnienie z Kalidorei.

Strome skaliste stoki, ściany wąwozów osmalone ogniem, błyszczące stopioną warstwą kwarcu jak oblane lukrem. Rdzawe smugi na dnach strumieni. Tylko to dawało znać o walce, jaka się tu odbyła. Pola potyczek zostały oprzątnięte z trupów i resztek, wiosenne deszcze zmyły krew, niosąc ją w koryto Siwej Damy. Odchodząc, napastnicy naprawili zniszczone bramy i mosty, zakopali transeje i okopy... Jakby ich tu nigdy nie było.

Ale byli.

Na przedpolu fortecy Hodron wykuto w skalistej glebie wielką dziurę, kilkudziesięciometrowej szerokości dół.

Mogiłę.

W równych rzędach ułożono tu szczątki zabitych w walce obrońców Kalidorei, 35 tysięcy ofiar tragicznego połączenia błędów taktycznych z niezłomnym duchem. Na krawędzi olbrzymiej mogiły ustawiono wbite równo sztandary laryjskie, czyste, niezniszczone, niesplugawione, a w ich cieniu kamienną tablicę, na której w alfabecie Larionu napisano starannie „Szanujemy Waszą Decyzję”.

... 35 tysięcy stawilo czoła 150 tysięcznej armii Qasyranu.... Dowodzący tlatone Oepetl Cuitla, znany jako Czarny Wilk, zachował się przyzwoicie. Gdy po pierwszych starciach okazało się, że Laro nie zatrzymają jego marszu, wysłał parlamentarzysty, pozwolił przeciwnikom wymaszerować z fortec, pod broń i ze sztandarami, ocalić życie i honor... Ale dla wojowników Laro to nie było takie proste.

Nie wyszli.

W Laro za późno ogłoszono mobilizację, powołane pod broń tysiące nie zatrzymały maszerującej na północ armii na jej szlaku, wzdłuż Yro, nie dotarły do twierdz kalidoryjskich by

wspomóc wojowników Ahi i Rino, wyruszyły na północ tylko po to, by dowiedzieć się, że do Kalidorei i tak nie zdążyły, a tymczasem największy cios padł na bezbronne południe...

Wiosną 938 r. na północ powędrowały z Laro dramatyczne informacje.

Obszar obronny w Kalidorei padł. Nikt nie przeżył. Z gór Waitiri i Takawai wymaszerowały jednostki armii obronnej, powołano pod broń niemal co drugiego mieszkańca. Armia nie zdążyła do Kalidorei, w tym samym czasie na południowe huany spadło uderzenie wojsk Qa, na zostawione w domach dzieci i starców, na niewyszkolonych wyrostków i ciężarne kobiety... Kalidorea broniła się bohatercko i upadła w chwale. Na południu żadnej chwały nie było. Była desperacka bezładna obrona, równie bezładna ucieczka, upokarzająca panika, wycinane do ostatniego wioski i osady, żadnej chwały, dumnych mogił i sztandarów, były zostawione na żer zwierząt trupy i sterczące oskarżycielsko w niebo słupy po spalonych domach.

Savra była w Kalidorei. Długo klęczała przy mogile pod Hodronem. Nie pamiętała swoich myśli z tamtego czasu, a raczej pamiętała je jako wielką ciemność. Czuła się tak, jakby ta ciemność polowała na nią, osaczała, czaiła się dookoła przez lata, a ona, księżna Larionu, od pięciuset lat dowodząca dumnym krajem i jego armią, niepokonana mistrzyni sztuk walki, doświadczona weteran niezliczonych bitew... ona tego nie zauważyła.

Gdy wielka armia Qa maszerowała wzdłuż nurtu Siwej Damy, zamiast wtedy zwoływać mobilizację, ona zajęta była wieściami, które zniszczyłyby podstawy państwa i ludu Larionu, wieściami o Ikni. To, co spod ziemi przynieśli jej wierni wojownicy...

Ikni, ich skarb i dar od bogów, wspólna świadomość narodu, bogata duchami ich przodków – była zatruta. Podstawa ich tożsamości, wspólna myśl, wspólne odczuwanie – okazywało się pułapką stworzoną, by sterować ich wolą. Pułapką zastawioną na początku czasów przez oszukańczego boga, którego sami tyle czasu czcili.... Ta wieść załamała ją, przeraziła i sparaliżowała. Nikt nie przygotował zjednoczonej społeczności wojowników, ani jej samej, na to, co nadchodziło. I nawet nie mogła, jak każdy władca przed nią, uklęknąć i zapytać Przodków...

Drugi cios nadszedł z tego samego kierunku... Lata temu skazała na wygnanie zabójcę swojego brata, zabójcę, który uprzednio był jej przyjacielem i dowódcą, przywódcą rodu Andhakara. Upokorzyła go i pozbawiła łączności z Ikni... Teraz przed nią leżały dowody na to, że był niewinny, tak jak przez lata twierdzili wierni mu jego synowie. Prześladowała ich i ścigała, tolerowała ich obecność dopiero gdy wymusili to, rozpoczynając wojnę z Qasyran... a teraz nie wiedziała, jak ma spojrzeć im w oczy.

Ogłoszona mobilizacja była zbyt późna, zbyt bezładna. Wodzowie byli rozproszeni, niepewni, kapłani Ikni odsunięci od decyzji, Andhakara, choć przywrócona do praw, była pozbawiona przywódcy. Zmobilizowane wojska wyruszyły na północ tylko po to by dowiedzieć się, że na odsiecz i tak nie zdążyły, a ich domy i rodziny zmasakrowano.

Błąd... Każdy popełnia błędy... ale nie wszystkie są możliwe do wybaczenia.

- Skończyłeś? – zapytała łagodnie adiutanta, starannie kaligrafującego kolejne znaki.

- Tak, t'antsan – odparł, nie podnosząc się znad manuskryptu – Wszystko zapisane. Zapieczętować?

- Tak – uśmiechnęła się jak ktoś pogodzony w własnymi myślami, kto wreszcie znalazł właściwe rozwiązanie. Kaligraf artystycznie wypisał kolejne litery.

Altaris Faltorn Voel Tora Andhakara do rąk własnych

Pismo zawierało wezwanie, poparte przez radę wodzów i tych kapłanów Ikni, których wierność pozostała niesplamiona. Wezwanie do powrotu i objęcia stanowiska t'antsana Księstwa Larionu. Zawierało też warunek.

Dopóki choć jeden Qa pozostaje żywy bliżej niż tysiąc mil od granicy Larion, wojna z nimi nie ustanie, pokój nie zostanie zawarty. Dopóki na masowych grobach dzieci z południa nie wsiąknie w ziemię krew wodzów Qa – pokój nie zostanie zawarty. Dopóki żywy władca Qa na kolanach twarzą do ziemi nie wybłaga przebaczenia od duchów pomordowanych – pokój nie zostanie zawarty. Wojna będzie trwała, jawna i skryta, w górach i pod ziemią, żelazem i magią, żaden Qa nigdzie na świecie nie będzie mógł czuć się bezpiecznie, nie będzie mógł być pewien, że z ciemności nie dosięgnie go laryjskie ostrze. Konferencje, sojusze, polityka – są ważne. Ale wobec niezłomnych duchów Kalidorei, wobec niewinnych dusz ofiar z Waitiri i Takawai – nie znaczą nic.

Obyś miał więcej siły niż ja, Altarisie synu Faltorna. I oby cię przodkowie ustrzegli przed moimi błędami....

Przycisnęła do lakowej kropli swoją osobistą pieczęć i trzymaną w szkatule pieczęć państwową Księstwa.

Wyszła przed namiot.

Oddziały już czekały. Ustawione w szpalery chorągwie łopotały na wietrze, hucząc jak wodospady świętej Yro. Twarze wojowników, poważne, skupione, zmęczone. Gdy się pojawiła, wznieśli okrzyk, który huknął, budząc echa na szczytach i jeszcze chwilę przetaczał się gromem w tle.

Uklękła, przysiadając na stopach, i ceremonialnym ruchem ujęła w ręce katanę, unosząc przed sobą, poziomo, jakby chciała ją poświęcić w ręce stojących przed nią szeregów.

Wciąż klęcząc przed nimi, położyła miecz przed sobą. Czarne jak smoła włosy, spięte w misterny kok, rozplotła, puszczając luźno na wietrze. Zza pasa dobyła wakizashi i lekko go wysunęła z pochewki, kalecząc rękę. Krew pociekła kroplami, które roztała na twarzy, w oczodołach i na czoło, czyniąc się podobną do niepokojącego demona bardziej niż wodza.

W absolutnej ciszy zdjęła z szyi inkrustowany kamieniami, misternie zdobiony szkaplerz, symbol władzy książęcej, kładąc go przed sobą. Obok niego położyła buławę wodzowską, symbol tytułu t'antsan. Towarzyszący jej z równie uroczystym ceremoniałem podjęli z ziemi te przedmioty i ułożyli obok, tuż pod wielkim sztandarem Księstwa. Za jej plecami jej osobisty chorąży przekazał w ręce stojącej obok ai'tsan Nili Laurelin drzewce, a sam uniósł wysoko proporzec osobisty Savry.

Zanim podniosła się z przykłąku, Savra, szesnasta t'antan Księstwa Larionu, pochyliła się czołem aż do ziemi i złożyła obrzędowy ukłon swojemu narodowi.

Wojownicy odpowiedzieli kolejnym gromem.

Wstała już jako Savra-oeni Leidenei Kodanara Ahi. Jak kiedyś, zanim przyjęła na barki ogrom odpowiedzialności za kraj. Szła pewnym krokiem, uśmiechając się niemal wesoło, niemal spokojnie, uśmiechem kogoś, kto znalazł drogę w ciemności. Szła, wokół niej łopotały chorągwie, huk okrzyków dygotał kamiennymi podstawami świata. Szła, obozujący w dolinie Qa już usłyszeli, ale nie mieli pojęcia co się dzieje, w pośpiechu i chaosie rzucali się w kierunku zasieków i barykad. Szła, w rytm jej kroków runęła w dół pieśń, słowa towarzyszące jej, jej ludziom, a przedtem ich przodkom i przodkom ich przodków, w świętym łańcuchu pokoleń, autentycznym w swojej potędze, niezależnie od zdrad pułapek i podstępów.

*Gdy przyjdzie czas by upaść i stanąć przed wami
Wśród was proszę o miejsce choćby i ostatnie
Gdy pył opadł, mam tylko ręce znaczone bliznami
Bo co los mi dawał, oddałem duszom bratnim*

Przed zdziwionymi i przerażonymi szeregami wojowników Qasyran zatrzymało się w pół kroku niemal tysiąc laryjskich wojowników. To była tylko forpoczta, złożona z wodzów, kapłanów, członków rady książęcej. Za nimi od płaskowyżu wzdłuż biegu Siwej Damy unosił się pył pod butami kolejnych tysięcy. Dziesiątków tysięcy.

Nagle huk głosów umilkł jak ucięty nożem, tylko chorągwie groźnie mruczały ciągle swój gniew. Szeregi Laro zatrzymały się. Tylko jedna postać szła ku linii Zapółudnia, ciemniejąc na tle płomieni magii ognia, oplatających jej kształt.

Ona.

W zapadłej ciszy jej okrzyk bojowy poniósł się głuchym echem, splatając z hukiem nurtu Yro, z okrzykami maszerującej reszty armii górskich elfów, z warczeniem chorągwi. Przeciągły, niski wrzask spod samej przepony, potężny jak uderzenie w bojowy gong.

W pieśniach opowiadano potem jak skoczyła ponad szeregami tarcz, a jej miecz ciął pancerze i hełmy jak papier, jak roztrącała ich niczym demon zemsty, wirując w szkarłatno-czarnych smugach płaszcza, magii, włosów i krwi. Zapamiętali ją ponad szeregami wroga, otoczoną czerwienią i blaskiem płomieni, Savrę-Kroczącą-Z-Ogniem, której nikt nie pokonał. Zapamiętali ją, jej mistrzowskie uniki i umykające oczom ciosy. Jej twarz wykrzywioną okrzykiem bojowym, ale nie strachem. Zapamiętali, jak zmywa się winę, jak należy odchodzić, gdy odejście jest jedyną opcją.

Zapamiętali ją.

Nikt nigdy nie policzył, ilu Qa umarło tamtego dnia z jej ręki.

Tak poległa samobójczą śmiercią Savra, wojownicza, bohaterka, wódz, władczyni, a przodkowie patrząc na jej czyn kiwali z uznaniem głowami.

Sheen Ko, jeden z tysiąca świadków tej śmierci, zanim odwrócił się ku równinom i odłączył od armii, wykonując ostatnie poselstwo Savry, zatrzymał się na chwilę i także pokiwał głową:

- Zostaliśmy sami.... – szepnął ze smutkiem.

Nila Laurelin, ai'tsan wojsk zwiadu Larionu, odwróciła się w tył, w kierunku otwartej przestrzeni płaskowyżu, którym właśnie runął frontalny atak laryjskiej armii odwetowej.

- Żaden Laro nigdy nie będzie sam – uśmiechnęła się.

Tamtego dnia rozpoczął się wielki odwet za Kalidoreę i za południowe huany.

I za t'antsan Savrę.